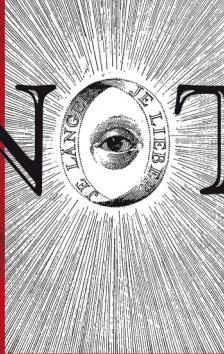
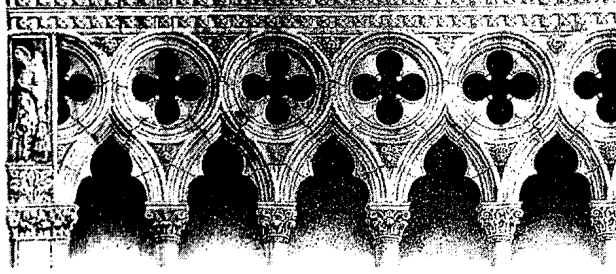


HIPNOTYZER



LECH MAJEWSKI

HIPNOTYZER



LECH MAJEWSKI

HIPNOTYZER



Copyright © 2003 by Lech Majewski
All rights reserved

Copyright © 2019 for this edition
Narodowe Centrum Kultury, Angelus Silesius, Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

Wydanie drugie (pierwsze wydanie Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. 2003)

Opracowanie graficzne okładki: *Lech Majewski*

Zdjęcie autora na okładce: *Marek Bielecki*

Redaktor prowadząca: *Katarzyna Flera-Iwaniuk*

Skład i łamanie: *www.mairstudio.com.pl*

ISBN 978-83-7982-371-0 — NCK

ISBN 978-83-9530-353-1 — Angelus Silesius

ISBN 978-83-8062-543-3 — DW Rebis



prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl



Narodowe Centrum Kultury

ul. Płocka 13
01-231 Warszawa
www.nck.pl
sklep.nck.pl



Stowarzyszenie Twórców
i Mecenaserów Kultury i Nauki
ANGELUS SILESIUS

al. Korfantego 66/4
41-161 Katowice



Dom Wydawniczy
REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49
60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08; 61-867-81-40;
fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Redaktor Naczelny Wydawnictwa NCK: *dr hab. Rafał Wiśniewski, prof. UŁSW*
Narodowe Centrum Kultury jest instytucją państwową
działającą na rzecz rozwoju kultury w Polsce.

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Publikacja współfinansowana ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NOTA WYDAWCY

Niniejsza publikacja została opracowana na podstawie notatek znalezionych w pokoju nr 273 hotelu La Residenza w Wenecji przez policję zaalarmowaną zniknięciem amerykańskiego turysty, wykładowcy Uniwersytetu Yale, prof. Eliota Emsa. Po skrupulatnych poszukiwaniach obiektu opisanego w notatkach stwierdzono, że prawdopodobnie jest on wymysłem profesora, aczkolwiek w kilku niezamieszkanym pałacach odkryto ślady nielegalnego pobytu grupy osób. Policja skonstatowała jednak, że na terenie Wenecji bezdomni niejednokrotnie używali opuszczonych pomieszczeń jako noclegowni lub zwykłej osłony przed niesprzyjającą aurą. Natomiast tożsamość postaci występujących na tych kartach została potwierdzona i – co najbardziej niepokojące – każda z nich zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach.

Ufając, że publikacja notatek pomoże w rozwikłaniu zagadki, przytaczamy tekst niemal w całości, łącznie ze spekulacjami o charakterze naukowym. Zachowujemy przy tym oryginalną pisownię prof. Emsa, który część dywagacji zapisał odwrotnie, od prawej strony do lewej. Czytelnik zniechęcony scholastyką oraz symbolami matematycznymi może śmiało je pominąć. Ci zaś, którzy pragną je odczytać, muszą w tym celu sięgnąć po lusterko.

I

Wiem, że grozi mi nieopisana kara za złamanie pieczęci milczenia, lecz muszę wreszcie uporządkować swoje życie i zapisać to, co dyktuje mi pamięć. Gdy dotarłem tu w poniedziałek, nad Wenecją szarzył się świt i w głębi, na wodach laguny, kościół San Giorgio Maggiore wypływał z mgły. Kołysząc się na Canal Grande w tramwaju wodnym, siedziałem z zamkniętymi oczyma i ktoś mógłby przypuścić, że dosypiałem noc spędzoną w samolocie, ale nie — byłem nadzwyczaj przytomny i łowiłem każdy dźwięk: niskie, terkoczące wibracje silnika, barki ze śmieciami, wysokoobrotowe, wzburzone wycie taksówki wodnej odbierającej ostatnich hazardzistów z kasyna i chlupot wiosła zadziwiająco sprawnie poruszającego i sterującego asymetryczną gondolą. Chłonałem owe dźwięki i rozpoznawałem jak kiedyś, gdy żyłem tu za mrocznymi okiennicami przepuszczającymi jedynie włosy światła. Czułem ból i ulgę, że teraz jestem panem swych oczu, mogę je otworzyć, kiedy chcę, sprawdzić, czy źródło dźwięku zgadza się z moim wyobrażeniem.

Wysiadłem na San Zaccaria i ruszyłem brzegiem Riva degli Schiavoni. Skręciłem w wąską Calle del Dose i dotarłem do Campo Bandiera e Moro. Hotel La Residenza był starym pałacem Badoer z niewielkimi pokojami – jedynie ogromny hall na pierwszym piętrze, owe weneckie *piano nobile*, kapał gobelinami i meblami gotyku. Tam też po chwili zaspana recepcjonistka odnajdywała rezerwację na równie zasnym ekranie komputera, który migotał i wyłączał się, gdy tylko pojawiała się na nim lista gości.

Wziąłem pokój na lewo od hallu i zamknąłem drzwi na klucz. Rozpakowując się, zauważyłem, że nieświadomie (a może z premedytacją) urządzam pokój tak jak tamten. Nawet zatrzęsnałem okiennice. W mroku słuchałem budzącego się hotelu, rejestrując podobieństwa dźwięków, które tak dobrze znałem. To szurnięcie krzesłem i ciężkie kroki bosych stóp to Hette; nerwowe pokasywania to Gerard; brakowało tylko płaczu, codziennego szlochu, który przenikał grube ściany o świcie...

Nie wiem, kiedy usnąłem. Zbudził mnie telefon. Było już po pierwszej, gdy ktoś łamaną angielszczyzną usiłował przekonać mnie, że popełniono błąd i powinienem zaraz przenieść się do innego pokoju, zresztą ładniejszego i droższego, ale za tę samą cenę. Nie zgo-

dzilem się. Recepcjonista nalegał, usiłował przekupić mnie prezentem w postaci darmowej wycieczki do katedry na Torcello, ale odmówiłem. Ponownego urządzania się w jakimkolwiek pokoju w tym mieście nie przeżyłbym.

Obiad zjadłem w trattorii przy hotelu i niechętnie ruszyłem na obchód miasta. Każdy krok sprawiał mi ból. Na mostach przytrzymałem się poręczy, tak jakbym nagle zachorował, postarzał się i zgarbił. Siadać na ławkach lub schodach kościołów nie miałem ochoty: przecież gdzieś, z mrocznego zakamarka, spomiędzy szczelin okiennic, mogły patrzeć na mnie jego oczy.

Lawirowałem uliczkami Wenecji jeszcze kilka dni, starając się opóźnić moment konfrontacji z przeszłością, lecz zmęczone nogi wiodły mnie coraz bliżej mostu przy Akademii. Już miałem nań wejść, gdy w ostatniej chwili rezygnowałem i by dotrzeć na drugą stronę, nadkładałem drogi przez Campo San Angelo i Rialto. Poruszającemu się po Wenecji unikanie Ponte Accademia niezwykle komplikuje życie. Wreszcie przełamałem się i stanąłem na moście.

Stary pałac wyglądał tak, jak go zapamiętałem – ciemnozielone okiennice zatrzaśnięte na dwadzie-

ścia siedem spustów i biała fasada z marmuru istryjskiego wionąca chłodnym spokojem. Koronkowy maswerk loggii zwieńczony czteroliściami był poezją architektury, ale to, co pałac krył w swoim wnętrzu, przenikało mnie lodowatym powiewem...

Tak, pamiętałem rozkład każdego piętra i pokoju, schody w głębi domu i niewielki ogród chroniony wysokim murem. W nozdrzach miałem zapach wilgotnych ścian i butwiejącej bramy nad Canal Grande; wyżarta od spodu przez glony, przepuszczała wodę codziennych przyływów, mlaszcząc, plując i siorbiąc, jak gdyby jakaś starucha płukała sobie gardło i połykała hektolitry zielonkawej wody.

Kolana ugięły się pode mną, odwróciłem się i resztką sił uciekłem. Biegłem uliczkami, odbijając się od ścian i przechodniów, i nie byłem w stanie się uspokoić, dopóki nie zatrzasnąłem drzwi pokoju hotelowego i, bez zapalania światła, usiadłem w kącie na podłodze. Z trudem łapiąc oddech, uśmiechnąłem się. Mimo tchórzliwej bieraniny, maratonu strachu przez uliczki, place i mosty Wenecji, czułem się jak bohater. Ostatecznie stać mnie było na wejście na most i spojrzenie prosto na dom...

Uśmiechałem się jeszcze dlatego, że zobaczyłem pod zamkniętymi powiekami owego słynnego prywatnego detektywa (który nigdy nie mógł się zmaterializować), jak wchodzi na most i sam spogląda na dom. Na pewno zdziwiłby się, że nikt z nas nie jest w stanie uciec – jego spojrzenie oceniłoby fasadę budynku nie jako muzykę architektury, lecz jako ścianę ćwiczebną alpinistów, dla których zejście po gzymsach, archiwoltach i pilastrach pałacu byłoby igraszką. A może podejrzewałby istnienie subtelnego systemu alarmowego, okien połączonych drutem pod napięciem, złych psów i uzbrojonych strażników lub zastanawiał się nad możliwością wypłynięcia pod zmurszałymi zębami bramy? Nieważne – cokolwiek przyszyłoby mu na myśl, i tak nie zrozumiałby działania tej jednej jedynej siły, której niepotrzebne były fizyczne zabezpieczenia. A może gdyby stał, nie podejrzewając niczego, i ogładał po prostu jeden z pałaców, jakich w Wenecji wiele, natknąłby się nagle na oczy patrzące przez cały mózg, w tył jego głowy, tam gdzie schowany jest strach. A wtedy skończyłby jak my, jeden z bezsilnie oczekujących, aż któryś z kolegów przypomni sobie o jego istnieniu i przyjdzie go uwolnić.

2

Ciepły kwietniowy wieczór obramował dachy Kopenhagi gęstniejącym mrokiem. Ulla Sjöstrom wyszła z Glyptoteki. Przechodząc Dantes Plads, przyspieszyła kroku; nie była pewna, czy nastawiła wideo na nagrywanie filmu BBC o *Ambasadorach* Holbeina, więc skierowała się na postój taksówek. Dzisiaj nie pojedzie autobusem, zdecydowała. Już miała wsiąść, gdy zmieniła zdanie. Co tam Holbein, BBC, wideo i niepotrzebny wydatek na taksówkę wobec odświeżającego zmierzchu. Krzyki mew wypełniły plac nostalgią i zapachem morza. Ruszyła do następnego przystanku. Postanowiła przejść się dla rozkoszy wieczoru.

Bolały ją oczy i plecy od ślęczenia nad konserwacją gobelinów z Rouger, ale kochała tę pracę; jej spokój i cierpliwość, dzięki którym mogła połączyć się z palcami i opuszkami tych innych dłoni, sprzed przeszło trzystu lat, które równie cierpliwie owe gobeliny tkwały. Należały do mężczyzny. Znała jego imię.

Johann. Johann z Rouger. I przyszedł już do niej we śnie. Usiadł na łóżku, powoli uniósł kołdrę i dotknął jej brzucha. Delikatną, wprawną dłonią. Tego ranka, po przebudzeniu, w autobusie i później, w pracy, czuła jego dotyk i reperując zerwane nici gobelinu, reperowała nici przerzucone ponad trzystuletnią nieobecnością Johanna. Wiedziała, że tylko tak może kochać naprawdę. Kochać kogoś, kto nie istnieje i nie może ranić jej, zdradzać i znęcać się psychicznie jak mąż, z którym przeżyła sześć lat bólu i upokorzenia.

Ulla zaciągnęła się czystym powietrzem morza i uśmiechnęła. Ktoś przeszedł obok i spojrzał jej w oczy, głęboko, uparcie. Jej uśmiech zgasł. Tak jakby przechodzień zatopił w niej nóż, przypomniał coś, co zakopała głęboko w niepamięci. Minęła już drugi przystanek i zdecydowała, że wsiądzie na trzecim, obok uniwersytetu. Szła bezwiednie, znając Kopenhagę na pamięć. Czuła, że ktoś ją śledzi, ale nie odwracała się. Przyspieszyła tylko i skręciła w Frederiksberggade, niemal wbiegając do swych ulubionych delikatesów.

Powódź światła, zapachy wędlin i serów oraz uśmiechnięte twarze sprzedawców w białych kucharskich fartuchach uspokoiły ją. Machnęła ręką i odwzajemniła uśmiechy, trochę bezradnie, nie wiedząc, po

co tu weszła i co chce kupić. Czuła tylko, że jej srebrne kolczyki stają się coraz cięższe i powoli zaczynają rozrywać małżowiny. Zadawały coraz większy ból.

Upuściła torebkę i złapała się za uszy. Chciała krzyknąć, lecz resztką świadomości opanowała się. Drżącymi palcami usiłowała wyjąć kolczyki stawiające niezrozumiały opór i już miała się rozplakać, gdy usłyszała uprzejme pytanie, czy nic się nie stało. „Ależ skąd”, powiedziały jej usta, ale tam w środku, w głębi gardła, w przełyku i żołądku, odczuwała coś niezwykłego, jakąś dławiącą siłę, która wypełniła ją i pozbawiła panowania nad ciałem.

Kilka nieudanych kroków, potknięcie, zachwianie i mocna, owłosiona ręka greckiego sprzedawcy uratowała ją przed upadkiem. Nowy uśmiech, suche łzy, które nie wypływają, tylko tkwią gdzieś nad kośćmi policzkowymi, dziwna cisza zalegająca delikatesy, głęboki oddech, jeden, drugi, trzeci – i w końcu osłabienie ustępuje.

Bąkając coś o przemęczeniu, Ulla robi zakupy: szwedzki chleb z ziarnami sezamu, Gruyer, kiełki rukoli, kilo pomarańczy. Coś jeszcze chce wziąć, coś, na co ma ochotę, ale ponownie zdaje sobie sprawę,

że nie może się skupić, nie może mówić ani uśmiechać się do ekspedientki wpatrzonej w nią pytającym spojrzeniem, tak jakby postradała świadomość; za to nieznana siła każe jej obrócić się i dostrzec kątem oka mężczyznę, którego widziała na ulicy, przelotnie, w ostatniej chwili.

I teraz też dostrzega, jak mężczyzna odwraca się do niej tyłem, wychodzi i niknie w mroku. Trwa to zaledwie kilka sekund, ale Ulla rozpoznaje go, sięga do torebki i mechanicznie płaci. Ekspedientka usiłuje podać jej reklamówki z zakupami, lecz Ulla nie bierze ich – jej nogi kierują się do wyjścia w mrok ulicy, na prawo, tam gdzie zniknął mężczyzna, a doganiający ją Grek w białym fartuchu wciąż szczerzy zęby za równą linią wąsów, zadaje bezsensowne pytania i wtyka reklamówki do rąk. Ulla odpycha go mocno, agresywnie i biegnie przed siebie za cieniem, który niknie między plecami przechodniów.

Przed narożnym barem grupa młodych rasta pije kawę z papierowych kubków. Ulla wpada między nich, przedziera się na oślep przez kubki i dredy, nie zważa na krzyk wysokiego chłopca, który oblewa ją gorącą kawą trochę przez przypadek, trochę celowo, i nie bacząc na ból poparzonej dłoni, biegnie dalej za mężczyzną, którego nie widzi, którego już nie ma, ale

którego czuje jak zwierzę, wilczyca z nosem przy śladach, wyczuwa w rześkim powietrzu drobiny jego zapachu i wie, że musi iść i znaleźć go, i że żadna siła już jej nie powstrzyma.

Kaszirowy szal Loro Piana odplątuje się z jej szyi i zsuwa z ramienia, ale Ulla nie próbuje go złapać. Pozwala, by spadł na trotuar, jej ulubiony szal, którego ciepłe włosy i roślinny wzór napawały ją radością od czasu, gdy przestała marzyć o kochanku, który by kupił go jej w prezencie, i sama go sobie podarowała na trzydzieste siódme urodziny.

Czyjaś ręka podnosi szal i podaje jej, ale Ulla nie reaguje, nie zwalnia nawet. Ktoś krzyczy za nią, Ulla słyszy goniące ją kroki, lecz nie patrzy na ptasią twarz kobiety, która zrównuje się z nią i sapiąc, usiłuje oddać zgubę. Ulla wie, że szal już jej nie obchodzi; jest jedynie kolejną przeszkodą w odnalezieniu źródła powodującej nią siły.

Mijają długie minuty, kwadrans, pół godziny, nim zdaje sobie sprawę, że wybiegła poza centrum Kopenhagi, minęła kanał Sortedams Sø i idzie coraz wolniej, wzdłuż Strandboulevarden, zbliżając się do domu. Rozpoznaje widoki znane z okien autobusu i uświadamia sobie prosty fakt, że nigdy jeszcze tędy

nie szła. Ani z domu, ani do domu. Zawsze jeździła samochodem (zanim przekłęła go po wypadku), a później autobusem i, rzadko, taksówką.

Idzie obok nowych bloków, zaglądając do rozświetlonych mieszkań, podglądając młode kobiety kręcące się w kuchniach i mężczyzn przełączających nerwowo kanały satelitarne. Wydaje jej się nawet, że dostrzega fragment *Ambasadorów*, i to ją uspokaja. Już nie biegnie na złamanie karku, nie boi się, że zgubi trop, tylko zwalnia z coraz większą pewnością, że jej konfrontacja z nieznanym jest zapewniona. Lęk miesza się z rosnącą ciekawością, nawet podnieceniem i – patrząc w okna mijanych mieszkań – czuje się jak ktoś, kto wygląda z okna pociągu, zanim dotrze do celu długiej podróży.

Jej kroki chrzęszczą na żwirze alejki. Dostrzega go nieopodal wejścia. Nieznajomy nie patrzy na nią, tylko gdzieś w bok, na korony drzew, a może na księżyc wschodzący nad Østerbro. Ulla wystukuje szyfr domofonu, wchodzi i przytrzymuje drzwi. On nie spieszy się, każe jej czekać dobrą chwilę, nim wchodzi za nią.

Gdy ona jedzie windą, on wspina się po schodach. Jest pierwszy. Stoi obok jej drzwi i nie zwraca na nią uwagi. Jakby w ogóle nie istniała. Ulla czuje,

że po drodze postradała gdzieś ciało, stopniowo i bezboleśnie. Gdy otwiera drzwi, wstydzi się go. Nie śmie spojrzeć mu w oczy; opiera się o framugę i oddycha głęboko, powoli.

Wpuszcza go do mieszkania i zamyka drzwi na zasuwę i łańcuch. Spokojnie i metodycznie. Przez chwilę mignął w lustrze przedpokoju i dopiero teraz, dzięki odbiciu, może go dostrzec naprawdę. Szczupły, w płaszczu i kapeluszu, przypomina postać z czarno-białych filmów. Twarz zamyślona, chora, o białej skórze, jakby długo pozbawiona słońca. Niezglębione oczy o przezroczystych źrenicach podkreślają jeszcze wrażenie braku kolorów. Subtelność jego rysów wydaje się kompletnym zaprzeczeniem siły, która z niego bije.

Obcy siada na fotelu w pokoju jadalnym i zakłada nogę na nogę. Czeka. Ulla zrzuca płaszcz i wzdycha cicho, z rozkoszą. Nigdy przedtem tego nie robiła – mężczyźni przerażali ją, męczyli i zawstydzali – a teraz ociera się o framugę, zezwierzęcona jak w taniej broszurze pornograficznej, którą kiedyś znalazła w papierach zmarłego ojca i rzadko, niezwykle rzadko przeglądała, gdy nie mogła zasnąć.

Spódnica i sweter zsuwają się same. Obcas w pantoflu złamał się, bo chciała go złamać i nastąpiła na piętę

tak, że usłyszała cichy trzask. Dotyka swoich piersi, lędźwi i bioder i jednym ruchem zrywa halkę. Potykając się na złamanym obcasie, robi kilka kroków, opada na kolana i podczołguje się do nieznanego.

Wziął ją od tyłu, na podłodze. Krzyczała i zatykała sobie usta z głową wbitą między fotel a tapczan, i nie wiedziała, jak długo to trwało; płynęła we wrzącej wodzie pełnej glonów, czołgała się przez wilgotny ogień, aż w końcu, gdy dotarła na powrót do mieszkania, na dywan, pod fotel, on pogłaskał jej włosy, pocałował w kark, wstał, otworzył łańcuch, zasuwę i wyszedł.

Skulona, z włosami zlepionymi potem i śliną, z półprzymkniętymi powiekami Ulla nie poruszyła się. Nie była w stanie. Siedziała tak do rana, na przemian płacząc i uśmiechając się, i dopiero gdy usłyszała kroki sąsiadów na klatce schodowej, zdała sobie sprawę, że drzwi do jej mieszkania są otwarte.

Tego dnia nie poszła do pracy, nie jadła i nie myła się. Dzwonił telefon, ale nie odbierała go. Następnego dnia również. Dopiero trzeciego dnia ocknęła się z odrętwienia, wykąpała, posiliła i pospiesznie wrzuciła do torby najniezbędniejsze przybory.

Nikt nie potrafił wytłumaczyć policji, dlaczego drzwi do mieszkania Ulli były otwarte, co robił but ze złamanym obcasem w umywalce poplamionej krwią i dlaczego któregoś wieczoru tak głośno krzyczała. Ślad po niej zaginął. Była spokojna i zrównowazona, zawsze punktualna w pracy. Notatnik z nazwiskiem „Johann z Rouger” napisanym siedem razy nie pomógł policji w niczym, a pracownicy Glyptoteki oświecili młodego porucznika, że z Johannem z Rouger Ulla Sjöstrom nie mogła mieć nic wspólnego, gdyż człowiek o tym nazwisku był tkaczem, który umarł przeszło trzysta lat temu.

3

Tak, wróciłem. Zdobyłem się na to, żeby ponownie wspiąć się na szczyt mostu i spojrzeć na fasadę przeklętego budynku. Najpierw przyjrzałem się mojemu oknu, na drugim piętrze, wychodzącemu na północ, potem poszukałem wzrokiem okna Anny, piętro wyżej, nad kanałem. Pamiętam, jak bardzo pragnąłem jej od pierwszej chwili, a teraz tęsknię za nią jeszcze bardziej. Historia nas wszystkich jest do tego stopnia niezwykła, że nigdy bym w nią nie uwierzył, gdybym sam nie był jej świadkiem i królikiem doświadczalnym, a co najdziwniejsze – moja pamięć zakopała owe doświadczenia wystarczająco głęboko, bym je całkowicie zapomniał. Dopiero pragnienie rzucenia palenia i dość przypadkowa sesja w New Haven, u hinduskiego hipnotyzera specjalizującego się w walce z nałogami, zmieniły ów stan. Zamiast reagować jak inni pacjenci poddający się sugestiom obrzydającym (sączonym przez Hindusa monotonnym głosem), począłem przypominać sobie zdarzenia, które przywiodły mnie na powrót do Wenecji, przed

oblicze oklejonego glonami *palazzo*, przed oblicze utajonej przeszłości.

Mój mózg – a także, podejrzewam, mózgi tych, z którymi żyłem – został zaprogramowany na zapomnienie i dopiero inny programista, znacznie uboższy w swej technice, zdołał jakimś cudem, czy partac-twem, odbudować tryby pamięci i odzyskać emocje i obrazy, wydawałoby się, stracone już bezpowrotnie. A może ten, który trzymał nas w pałacu, chciał, by po pewnym czasie, prawdopodobnie różnym dla każdego z nas, pamięć wróciła. Tak czy inaczej, nie było teraz dnia, bym nie przypominał sobie rzeczy tak nieprawdopodobnych, że podróż do Wenecji, owa wizja lokalna, miała być swego rodzaju uszczypnięciem, czy czasami nie śnię.

Wciąż mam wątpliwości, czy o tym pisać, narażać na szwank moją reputację naukową, ale przecież historia, którą chcę opowiedzieć, oparta jest na faktach niezaprzeczalnych i sprawdzalnych, właśnie naukowych. Nie wszystko jeszcze pamiętam, nie do końca stać mnie na odwagę przypominania, jednak uzmysławiam sobie coraz więcej detali.

Dla mnie historia ta zaczęła się podczas jednego z wykładów z astronomii, które prowadziłem na Uniwer-

sytecie Yale w New Haven. Na zajęciach z drugim rokiem mówiłem, że materii prawie nie ma, gdyż średnia jej gęstość we Wszechświecie nie przekracza jednego atomu wodoru na metr sześcienny. A i sam atom jest pustą przestrzenią. Chcąc to unaocnić, zaprosiłem grupę, żeby wyszła ze mną na boisko – propozycja ucieszyła wszystkich, był bowiem piękny majowy dzień i lęk przed sesją skręcał im kiszki. Już na boisku wyciągnąłem z kieszeni ziarnko grochu, pokazałem je, po czym teatralnym gestem upuściłem na środek murawy.

– Jeżeli przyjmiemy, że stadion jest atomem wodoru – powiedziałem – to jego jądro właśnie upuściłem, a po krawędzi trybun krąży gdzieś niewidzialny elektron wielkości główki od szpilki. Między nim a jądrem nie ma nic, a rozmiar atomu mierzy się średnicą powłoki elektronowej, czyli stadionu.

Niewielu studentów słuchało, większość wyglądała się i poszturchiwała, korzystając z nieoczekiwanej kanikuły, i wtedy, po raz pierwszy, dostrzegłem jego wzrok – zimne źrenice, które pochwyciły mnie w swoje władanie jak w stalową obręcz. Lecz jeszcze nie wiedziałem, że nie ma dla mnie ucieczki, i owo dziwne, przenikliwe spojrzenie pomieszało tylko tok mojego wykładu.

Zapomniałem na dobrą chwilę, co mam mówić, i stałem tak nieporadnie, przestępując z nogi na nogę niczym dzieciak na egzaminie. Nie byłem pewien, czy patrzący należy do obsługi uniwersyteckiego stadionu (a może jest trenerem), czy też znalazł się tu przypadkowo. Wydało mi się, że patrzeć tak może tylko psychopata, i przez mózg przemknęła mi myśl, że jest uciekinierem z pobliskiej kliniki psychiatrycznej.

Po kilku minutach poszedł sobie, a ja już spokojnie mogłem kontynuować wykład. Któryś ze studentów zapytał, jak duże byłoby ziarenko piasku, gdyby jego molekuly były wielkości główki od szpilki. Kalkulowałem w myślach, wyjąłem notatnik, przeliczyłem.

– Wypełniłoby sześcian o boku jednego kilometra.

– Niemożliwe! – krzyknął student.

– Jak nie?! – obruszyłem się. – Wystarczy tylko podnieść do potęgi rzeczywiste wymiary. Molekuly kwarcu są o tyle mniejsze od główek szpilek, że w ziarenku piasku mieści się niewyobrażalna ich liczba.

Zadziwiło mnie, że reszta studentów zaczęła słuchać, a i we mnie wstąpił animusz. Mówiłem o dziwności pustego Wszechświata, który wciąż, codziennie, co sekunda rozszerza się, rodząc przestrzeń, i że to nie galaktyki pędzą w nieruchomej przestrzeni, a odwrotnie – pęczniejąca przestrzeń pociąga

za sobą galaktyki. Mówiłem o Wielkim Atraktorze, w stronę którego lecimy razem z naszą grupą galaktyk, i gdy tylko się rozkręciłem, zdałem sobie sprawę, że czas wykładu już minął i należy podziękować studentom za uwagę.

Rozbiegli się we wszystkie strony, pozostawiając mnie na środku murawy. Jakoś nie chciało mi się iść do profesorskiej stołówki ani do biblioteki. To były ostatnie zajęcia i byłem wolny. Położyłem się więc na trawie. Zadziwiające, pomyślałem, że większość z nas, uczących, nie zastanawia się nad tym, czego uczy, a przez to traci świeżość; pewnie dlatego Pauli, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, napisał: „Ach, wiem już zbyt wiele, by rozwiązywać nierozwiązywalne”.

Pod zamkniętymi powiekami ujrzałem, bardzo wyraźnie, mgławice i galaktyki łączące się we wspólny strumień; jakże gigantyczne siły, o których istnieniu obecna nauka nawet nie śni, muszą działać, by powodować ów ruch; jak wiele jest zagadek, pomimo oczywistych zdobyczy nauki ostatnich dwustu lat. W pewnej chwili, przez roje gwiazd i pyłu mgławic kłębiącego się w moim umyśle, dostrzegłem coraz wyraźniejsze rysy mężczyzny, tego, który przerwał mój wykład. Wstrząsnął mną dreszcz. Od razu wstałem i rozejrzałem się. Czyżby gdzieś na trybunach

patrzył na mnie? Nie. Nie zauważyłem go pośród młodych ludzi tu i ówdzie uczących się lub śpiących na ławkach. Nie było go. Wiedziałem. Gdyż jego wzrok natychmiast przyciągnąłby mój.

Wróciłem do swojego jednopiętrowego domku na Olive Drive, zaparzyłem kawę, włączyłem na cały regulator (tak jak lubię) *Sonatę C-dur* Bacha i usiadłem przy oknie. Wpatrywałem się w podjazd, tak jakbym na kogoś czekał. Minęło kilka godzin, nim się ruszyłem. Już dawno w domu panowała cisza, a z kawy pozostała gęsta smoła.

Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. W nocy nie mogłem zasnąć. Rzadko miałem trudności z zasypianiem, a gdy się pojawiały, zapalałem lampkę i czytałem, wiedząc, że z bezsennością nie można walczyć, trzeba czekać cierpliwie, aż sama odejdzie i ustąpi miejsca swej nemezis. Tym razem jednak światła nie zapaliłem. Nie chciałem czy też nie mogłem. Tkwiłem w mrocznej ciszy domu, z którym bezwiednie zacząłem się żegnać.

O świcie wstałem i spakowałem się. Głodny poszedłem na uniwersytet. Czekałem przed biurem rektora, by powiadomić go, że pragnę wziąć bezpłatny urlop. – Teraz? – zdumiał się.

-
- Tak.
 - Pan wie, że zaczyna się sesja.
 - Wiem.
 - To co się stało?
 - Jestem bardzo chory...

Rektor przyjrzał mi się uważnie. Czując, że dotarł do niewidzialnej granicy dalszego wypytywania, zamilkł.

- Kto w takim razie pana zastąpi?

Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem pytaniem:

- A co by pan zrobił, gdybym nagle umarł?

Oczywiście biuro podróży, w którym wykupywałem bilety lotnicze, miało plakat Bazyliki św. Marka; oczywiście młoda Chinka z włosami ufarbowanymi na różowo zapytała mnie, dokąd chcę lecieć, a ja palcem wskazałem na plakat. Uśmiechnęła się, szepcząc konfidencjonalnym tonem, że na podróż do Wenecji ma świetną promocję, a ja, oczywiście, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię i dlaczego. Zaoferowała, że zabukuje mi hotel, i zgodziłem się, ale przecież wiedziałem, że nie będę go potrzebował.

Lot dłużył się niepomrotnie. Raz po raz rzucałem okiem na elektroniczną mapę świata wyświetlaną dla pasażerów na monitorach i gdy tylko symbol samolotu nie poruszał się, koncentrowałem na nim siłę

woli, tak jakby to ode mnie zależało, że unosimy się w powietrzu.

Z lotniska wziąłem taksówkę do Piazzale Roma, potem wsiadłem do tramwaju wodnego zwanego *vaporetto*. Kołysał się na wielkim kanale, a marmurowe pałace, jak we śnie, opływały źrenice. Od czasu do czasu z dudnieniem i chrzęstem przybijaliśmy do przystanku, ciżba przepychała się do wyjścia i wejścia, a pałace znów ruszały, rozstępując się w powolnej defiladzie.

Byłem szczęśliwy. Tak. Po raz pierwszy od dłuższego czasu uśmiechałem się i kilka łez popłynęło mi po policzkach. Nigdy nie przypuszczałem, że tak nagle, w środku mojego życia przepełnionego pracą naukowo-dydaktyczną, znajdę się w starej Europie. Owszem, planowałem zwiedzanie świata, ze szczególnym uwzględnieniem Europy, dla której chyba wszyscy my, Amerykanie, czujemy respekt (respekt dla przodków?), ale podróż taką chciałem przedsięwziąć nie prędzej niż za dziesięć, piętnaście lat, gdy przejdę na emeryturę. A tu znalazłem się w samym jądrze fantastycznego filmu i, co najlepsze, bo najbardziej absurdalne, kompletnie nie miałem pojęcia dlaczego. Gdy *vaporetto* zbliżyło się do łuku Ponte Accademia, wiedziałem tylko, że mam tu wysiąść.

Pociągnąłem za sobą nesoser na kółkach i zaplątałem się w kamienną sieć wąskich uliczek. Niemal na każdym rogu stali zagubieni turyści, gapiąc się w plany miasta i obracając je na wszystkie strony; pomyślałem wisielczo, że zgubili się tylko i wyłącznie dlatego, że wiedzą, po co tu są. Jeszcze dwa mosty, wąskie przejście pod budynkiem zwane *sotoportego* i już ujrzałem gotycką furtkę z przerdzewiałym zamkiem, którego nikt z pewnością nie otwierał od wielu lat. Przycisnąłem chropowatą klamkę, ale nie drgnęła. W dłoni zostały mi rude łuski rdzy. Spróbowałem jeszcze raz, z podobnym efektem. Zapukałem. Odpowiedziała mi cisza.

Nie odszedłem. Łomotałem w furtkę raz za razem. Zabłąkani przechodnie (boczna uliczka, na której stałem, prowadziła donikąd, czyli wprost do kanału) spoglądali na mnie jak na wariata. W ich oczach jakiś chory mężczyzna dobijał się do zapuszczonej rudery, w której nikt nie mieszka. Po jakimś czasie usiadłem na nesoserze. Nie ruszyłem się stamtąd przez cały dzień, aż do zmierzchu.

4

Hette obudził się na podłodze, a właściwie na schodach. Czuł potworny ból głowy i nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób się tu znalazł. Dłuższą chwilę usiłował pozbierać myśli, ale bez rezultatu. W końcu obrócił swoje cielsko na brzuch i dysząc, kaszląc i stękając, wgramolił się na piętro. Gdy zapalił światło, przeraziła go mroczna plama na ścianie. Cała poduszka, na której spał, przesiąknięta była jeszcze niezastygniętą mazią. Dotknął głowy. Wyczuł pod palcami sklezione włosy i jął nerwowo rozplątywać je i czesać, tak jakby to było teraz najważniejsze. Zapalił światło na schodach i zszedł, trzymając się poręczy.

Pod schodami, na kamiennej posadzce, lśniła ogromna kałuża. Powąchał ją, dotknął, nie dowierzając, i pobiegł do kuchni po szmatę. Ścierał krew topornie, nie zbierając jej, tylko rozmazując jeszcze bardziej. Zaklął, rzucił szmatę w środek kałuży i uciekł. Dosłownie uciekł na górę, do łazienki, i zamknął się na klucz.

Zapalił światło, ale bał się spojrzeć w lustro. Zrzucił szlafrok i wszedł pod prysznic. Woda, która spływała z jego skręconych włosów, była różowa. Myślał, że niesie ze sobą resztki starej krwi, ale mylił się; jej barwa, zamiast blednąć, stawała się coraz intensywniejsza. Mógł już wymacać zgrubienie z tyłu głowy. Nie bolało go. Z wolna uświadomił sobie prawdopodobny rozwój wydarzeń. Prawdopodobny, gdyż alkohol, który kupił tydzień temu w barze Tirana, znokautował go w pierwszej rundzie. Zostawił butelkę na dole, w kuchni, i w nocy, pewnie nie dowierzając, że jakikolwiek alkohol może go tak szybko powalić, ruszył, by ją dopić, poślizgnął się, a kant stopnia dołożył swoje i teraz całe jego kawalerskie mieszkanie wyglądało jak po świniobicciu.

Lejąc na siebie lodowatą wodę, począł wrzeszczeć i walić głową w kafelki. Miał dosyć. Siebie i swojego samotnego, przegranego życia; swojej tuszy, obżerania się przed telewizorem, chlania, palenia trzech paczek dziennie; kobiet, które kochał tak bardzo, że zaraz go rzucały; prostytutek, których się brzydził (i tego, że to go podniecało); złych inwestycji; fałszywych przyjaciół i nawet tego, że przerzucając całymi nocami kanały telewizyjne, nie mógł trafić na nic, co by go (poza pornografią) zainteresowało. Chciał umrzeć razem ze swoimi nadmuchiwanymi lalkami, stosami pism

pornograficznych i zbędną wiedzą o chemii i biologii, przez którą przegrał rozdanie kart zwane życiem, trafiające się młodym ludziom po skończeniu studiów.

Osunął się po ścianie i leżał zaplątany w samego siebie, a prysznic walił w niego niemiłosiernymi strugami. Pewnie wykrwawiłby się na gigantycznym kacu, gdyby protestancka obowiązkowość dziwnie kontrastująca z jego wyglądem sybaryty nie wygnała go w końcu na pogotowie, gdzie założono mu dwadzieścia siedem szwów i trzy rolki bandażu. Idąc przez Prinsengracht, czuł się jak Apollinaire wracający z wojny. Przejrzał się w szybie wystawowej i wybuchnął śmiechem. Siwiejąca broda i krzaczaste brwi wyglądały jak doklejone do ogromnej głowy szmacianej lalki.

– Teraz mój wygląd zachwyci każdą dziewczynę – powiedział półgłosem, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do zakładów farmaceutycznych, żeby zwolnić się z pracy. Sekretarka udawała zdumienie, że miał wypadek i był w szpitalu; wszyscy wokół wiedzieli doskonale, jaki tryb życia prowadzi i co jest prawdziwym powodem jego absencji. Już dawno wyrzucono by go z każdego laboratorium, gdyby nie fakt, że był prawdziwym geniuszem biochemii i wciąż dostawał oferty z całego świata. Tymczasem Hette nie ruszył się z Amsterdamu, twierdząc, że tu się urodził i tu umrze.

Wrócił do domu i zasnął. Wieczorem pobiegł na próbę chóru. Śpiewanie – a stały dopływ alkoholu zapewniał mu niezwykle *basso profundo* – było jego trzecią, obok chemii i biologii, rozrywką, którą, w odróżnieniu od alkoholu i kobiet, traktował z przesadną powagą. W drodze na próbę postanowił skończyć z eksperymentami alkoholowymi w barze Tirana, wstąpił więc do znajomego sklepu i zaopatrzył się w „ucho”, czyli największą dostępną w detalicznej sprzedaży butelkę Smirnoffa. Na wszelki wypadek.

Gdy tylko członkowie chóru Canticum Novum ujrzeli go, zabrakło im tchu. Przyzwyczaili ich do różnych wybryków, ale nie wystąpił jeszcze przed nimi jako zabandażowany melon z doklejoną brodą. Powiedział prawdę, że spadł ze schodów, ale skłamał, że w laboratorium, prawdę, że ma dwadzieścia siedem szwów, i kłamstwo, że był trzeźwy, prawdę, że stracił przytomność, i kłamstwo, że w biały dzień. Często tasował fakty i fikcje z biegłością zawodowego alkoholika.

Sara, sześćdziesięcioletnia wdowa o drobnej twarzy, grubych dłoniach i stopach, pomacała mu głowę. Syknął z bólu i odwrócił się. Zabrał ją kiedyś do siebie na weekend, bo na próbie podnieciły go jej grube palce, a że był nietrzeźwy, więc odważny, podszedł i bez ceregieli zaoferował jej sobotę i niedzielę w płomie-

niach seksu. Właściwie czekał, aż Sara go spoliczkuje, bardziej bowiem mogła być jego matką niż kochanką, ale przeliczył się. Wzięła go pod ramię i do swojego samochodu, a w trakcie jazdy ręce trzymała nie tylko na kierownicy. Nie spotkali się więcej, a jedynym dziedzictwem weekendu było zachowanie Sary podczas prób. Rzeczywiście traktowała go jak matka; ocierała mu pot z czoła, poprawiała włosy, zbierała nitki z marynarki, a tego Hette nie mógł już znieść. Może by i były inne weekendy, lecz zachowanie Sary zgasiło nawet pijackie płomienie.

Do sali wkroczył maestro Don Cassiano, który był Albańczykiem (polecił Hettemu Tiranę) i nie nazywał się Don Cassiano. Gdy ktoś kiedyś nie mógł przeczytać jego prawdziwego nazwiska, mylił się i przekreślał je, mimo że Don Cassiano korygował go z uporem maniaka, naprawdę się wściekł. Tym bardziej że osobą tą był nauczyciel języka holenderskiego w szkole dla uchodźców. Sytuacja była beznadziejna; jeśli nawet nauczyciel z tego dziwnego kraju (w którym nikt nie zasłania okien, a urzędnicy publicznie palą marihuanę i są mieszkańcami komun) nie potrafi wymówić jego nazwiska, to nic tu po nim. „Przecież nie mamy nic, co jest nasze i co po nas zostanie, oprócz nazwiska”, mawiał. Spakował się zatem i już miał wyjechać, gdy znajoma wróżka powiedziała mu, że jeśli obierze

pseudonim „Don Cassiano”, otworzy się przed nim prawdziwa kariera. Zgodził się, rozpakował, przyjął *nom de guerre* i został kierownikiem amatorskiego chóru, by teraz właśnie machać batutą nad chorą głową Hettego.

Przestrzeń Engelse Kerk, starego prezbiteriańskiego kościoła obok Zgromadzenia Beginek, wypełniły dźwięki *Requiem* Mozarta. Zapominając o swojej zbożalej i śmiesznej fizyczności i stając się tylko głosem, Hette poczuł się lekki, niemal odpływał aż pod sklepienie. Kątem oka widział Don Cassiana i – spoglądając na ściany i okna – pomyślał, że światło, które uważał za króla wszelkiego życia, o dziwo nie wypełnia tak przestrzeni kościoła jak dźwięk. Tu i ówdzie dostrzegalne cienie filarów i belek potwierdzały jego myśl – światło tam nie dochodziło, dźwięk zaś, ich chóralny śpiew, wprawiał powietrze w wibracje, wdzierał się w każdy kąt i stanowił trójwymiarowy negatyw, przezroczysty odlew świątyni z kamienia.

Jego ścisły umysł wiedział o reakcjach cząsteczek gazów powietrza zderzających się ze ścianami, ławkami, krucyfiksem, nim samym, Don Cassianem i tą dziwną osobą siedzącą nieruchomo w końcu nawy, w ostatniej ławce. Obecność mężczyzny, który nie zdjął kapelusza w kościele i sie-

dział w płaszczu, przysłuchując się ich próbie, coraz bardziej kaleczyła jego wizje i rozbijała je jak kamień szkło. Parokrotnie nawet przestał śpiewać zaniepokojony intruzem. Umowa była jasna: gdy któryś z członków chóru przyprowadzał na próbę gościa, nawet własne dziecko, pytał o pozwolenie pozostałych. Tym razem nikt o nic nie pytał.

Don Cassiano wyczuł zdenerwowanie Hettego i spojrział nań, unosząc brwi. Hette wskazał wzrokiem mężczyźnię. Don Cassiano przerwał dyrygowanie, obejrzał się i zapytał półgłosem, czy ktoś przyprowadził na próbę znajomego. Odpowiedziało mu milczenie. Don Cassiano zapytał jeszcze raz. Nikt się nie przyznał. – Przyszedł pan posłuchać? – dyrygent zapytał głośno. Odpowiedziało mu echo, mężczyźna w kapeluszu nawet nie drgnął. Don Cassiano postanowił zignorować nieznajomego i podniósł batutę.

Śpiew najwyraźniej się nie kleił; chórzyci spoglądali po sobie, a Hette zaklął i mruknął pod nosem:

– Wyrzucimy tego drania.

– Tak! – dodała Sara. – Nawet nie zdjął kapelusza w domu Bożym...

Don Cassiano zastukał batutą w pulpit i gestem nakazał ciszę.

– Proszę, śpiewamy!

Poszło jeszcze gorzej. Tak jakby obecność nieznanego zupełnie rozkojarzyła chór. Dyrygent poddał się, poczerwieniał i rzucił batutę na podłogę. Denerwował się błyskawicznie, czerwieniały mu uszy, mylił składnię holenderską i klął siarczyście po albańsku. Chórzyści zachwycali się jego przekleństwami: twierdzili, że tyle w nich spółgłosek dźwięcznych, że na samej ich emisji można się nieźle wyżyć. Nie to, co przekleństwa holenderskie, zbyt suche w wymowie; brakowało w nich tego cudownego soku.

Don Cassiano ruszył do nieznanego i zdenerwowanym głosem zapytał, czy słyszał, że mówił do niego. Obcy nie reagował, nawet nie patrzył na dyrygenta, tak jakby ten nie istniał. Tego było już za wiele: Don Cassiano wziął się pod boki i donośnie zażądał odpowiedzi. Po kolejnej chwili ciszy spytał, czy obcy jest niemową. Sytuacja była coraz bardziej idiotyczna. Don nie miał pojęcia, co zrobić z nieznanym, i począł głośno domagać się szacunku.

– Szacunek to najważniejsza rzecz! – krzyczał. – Szacunek dla Boga, bliźnich, ich pracy i skupienia! Bez szacunku człowiek zamienia się w zwierzę!!!

Nakręcił w sobie sprężynę agresji wystarczająco mocno, by skoczyć obcemu do gardła, ale ten podniósł

wzrok i parą szarych, przenikliwych źrenic przybił go do posadzki.

Dyrygent stał w dziwnej pozie, nie ruszając się przez dobrą minutę, a potem łagodnie osunął się na ławkę, skulił i zasłonił twarz. Obserwujący scenę chórzyci nie bardzo rozumieli, co mogło się wydarzyć – obcy przecież nie dotknął dyrygenta, nie zrobił właściwie nic. Może Don dostał apopleksji, był przecież typowym cholerykiem. Ale nie wyglądało to na atak: Don siedział jak trusia i chyba płakał, a nieznajomy wstał i wyszedł.

Przyglądając się tej scenie, Hette poczuł się niedobrze. Szwy ściśnięte bandażami rwały mu skalp. Czuł, że krwawi. Zakręciło mu się w głowie, zachwiał się i pewnie by upadł, gdyby nie Sara niespuszczająca zeń oka. Poprosił, by zawiozła go do domu – była szczęśliwa. Podczas drogi bezustannie pytała, jak się czuje, ale jej troska nie miała altruistycznego podłoża. Na jednym z zakrętów położyła mu dłoń na kolanie, jak chłopiec dziewczynie, ale działo się to w kraju, w którym dziewczyny często wożą swoich chłopców na rowerach. O zajściu w kościele w ogóle nie mówili.

Hette ledwie doczołgał się do łóżka. Upadł i poprosił Sarę, żeby zrobiła mu mocnego drinka. Odmówiła.

Błagał ją tak przekonująco, że się zgodziła. W kuchennym zlewie znalazła zakrwawioną szmatę, na stole i na posadzce plamy. Hette nie zmył ich zbyt dokładnie. Przerazona zaczęła iść śladami, ścierając je, aż doszła do łóżka. Hette spał. Ucieszyła się, że zwalnia ją to z obietnicy przyrządzenia drinka, rozebrała się i położyła przy jego wielkim, ciężkim ciele.

Pieściła go, pamiętając wspólny weekend, którego detale męczyły ją od tamtego czasu przed zaśnięciem. Wyślizgnęła się spod kołdry, usiadła na fotelu i przyglądała Hette. Nic w nim nie było pociągającego – gruby, spocony, chrapiący facet z przegrany życiorysem – i to ją właśnie wzruszało. Wzruszało i podniecało. Dotykała się z coraz większą pasją. Jej zdławiony jęk obudził go. Przez chwilę przyglądał się jej rozkoszy, a później uniósł kołdrę i zaprosił do siebie.

Był namiętny mimo bólu głowy, a może właśnie dlatego. Sara poprosiła, by mówił coś, bo jego bas ją podnieca. Hette postanowił mówić o tym, co naprawdę kocha: o związkach chemicznych i o tym, że wachając kwiat, nasz nos nie wacha zapachów, tylko reaguje na szczególną geometrię molekuł substancji wydzielanych przez kwiat. I że kwiaty są narządami płciowymi, jedynymi, które rosną

ku górze, ciągnąc, wyciągając roślinę ku światłu, podczas gdy organy zwierząt i ludzi zawsze rosną w dół, ściągając energię do ziemi. A kwiat pragnie latać i lewitować, i unosić się w powietrze, i dlatego zaprasza do swoich okazałych świątyń Wenery wszystko, co ma skrzydła.

– To dla owadów owe wystawne formy i barwy, na których malarze łamią pędzle. W swej bezczelności niektóre storczyki upodobniły się nawet do samic pszczoł i samce kopulują z nimi, wchodząc po kolana w lepki pył. Tak! – krzyczał w podnieceniu. – Rośliny mają skrzydła i fruują, unoszą się i drażą przestrzeń! Czubek bluszczu obraca się jak świder, zataczając pełen krąg co sześćdziesiąt siedem minut, drży i szuka podpory. Gdy ją znajduje, wystarczy minuta, by zaczął się wokół niej okręcać. (Słuchając dudniącego głosu, Sara nieświadomie ilustrowała opowieść dłońmi i językiem). W ciągu godziny podpora jest opleciona i czułka pociąga za sobą resztę rośliny. Jak to jest? Co się dzieje? Czy roślina widzi? Ma oczy? Skąd wie o sterczącej podporze? Najwyraźniej czuje jej obecność, gdyż unika pustych obszarów i zbędnych ruchów i zmierza wprost do celu!

Hette z rykiem spełnienia padł na poduszkę. Sara płakała ze szczęścia. Gdy zasnęła, Hette poszedł do

łazienki. Nie dość, że Sara wysprzątała ją dokładnie, to jeszcze spryskała kafelki wodą Issey Miyake. Zrobiło mu się niedobrze. Szybko otworzył okno i zaciągnął się zimnym, wilgotnym powietrzem Amsterdamu. Przejrzał się w lustrze. Na prawej skroni, na bandażu, widniała czerwona plama, lecz nie była to krew, tylko szminka Sary. Hette zdjął opatrunek, odgiął skrzydła lustra i obejrzał wygolony tył głowy z dwudziestoma siedmioma szwami. Nie mógł zrozumieć, jak głupi kant schodów umiał dokonać tak głębokiego cięcia. Właściwie rana mu się podobała. Nie przypominała kwiatu, ale narząd rozrodczy na głowie. Tak duży, że ktoś musiał go zaszyć.

Wygrzebał z szuflady garderoby w przedpokoju marynarską czapkę ojca i przymierzył ją. Pasowała. Nigdy jej nie nosił. Zastanowił się dlaczego i podczas golenia doszedł do wniosku, że dotąd był jej niegodny. Ale teraz wszystko się zmieniło. Spadł ze schodów i z otwartego czerepu wyleciał zły duch. Już nie pamiętał, któremu to bogu wyskoczyła z głowy Pallas Atena. Pewno Zeusowi; on załatwiał sprawy prokreacji za siebie i za wszystkich innych.

Wziął prysznic, starannie się wytarł i zastanowił, co teraz. Był środek nocy. Nie chciał wracać do łóżka; czuł się rześki i wypoczęty. Otworzył garderobę

i wyjął neseser. Spakował się. Nie zabrał dużo; kilka koszul, sweter, grube skarpety i to, co zwykle: pierśiówkę ze spirytusem. Wyszedł, nie budząc Sary. Nie, nie uciekał przed nią, po prostu nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Sara zresztą nie pozwoliłaby mu nigdzie iść, załatwiłaby wszystko za niego, a jego samego położyła do łóżka i włożyła mu pieluchę, tylko że na głowę, potem zaś, w nocy, znów by go obudziła zdławionym jękiem.

Taksówka zawiozła go na lotnisko. Kilka godzin przesiedział na ławce w oczekiwaniu na otwarcie kas. Rozśmieszyło go, że kupując bilet, tak jak planował, dokądkolwiek, wybrał Wenecję. Pewnie dlatego, pomyślał, że kilka tygodni temu, w barze dla samotnych, trzymał telefon komórkowy przy uchu i wrzeszczał pijany, że jutro w Monte Carlo go nie będzie, bo musi przypilnować renowacji swego pałacu w Wenecji. Krzyczał nie tyle, żeby przekrzyczeć muzykę (ostatecznie grano jakieś powolne i smutne kawałki ułatwiające samotnym grzęźnięcie w rozpacz), ile żeby wytapirowana jak w amerykańskim serialu z lat osiemdziesiątych oszałamiająca blondynka o ciężkich powiekach i piersiach usłyszała to i zemdląła z wrażenia. Oczywiście w jego ramionach. Telefon nie był włączony.

5

Nie pamiętam, jak długo tkwiłem przed zamkniętą furtką. Może cały następny dzień, może tylko noc. Nie mogę sobie przypomnieć. Wiem jedynie, że gdy usłyszałem w końcu metalowy chrzęst klucza i furtka się uchylila, było ciemno – wszedłem w mroczny gąszcz ogrodu. Idąc zarośniętą ścieżką, czułem, jak gałęzie uderzają mnie w twarz, szarpią ubranie; kolce ostrokrzewu rozciąły mi wierzch prawej dłoni.

Prowadził mnie krótko ostrzyżony młodzieniec; nie odezwał się jednym słowem, nie pomógł nieść bagażu ani nie podał ręki na powitanie. Zobaczyłem go dopiero na progu pałacu: był blondynem o regularnych rysach uformowanych harmonijnie i banalnie – twarz, której się nie pamięta, nawet patrząc na nią. Zamknął za mną bramę *palazzo* i poprowadził marmurowymi schodami: wyrastały z zielonkawej wody odgradzonej od Canal Grande ornamentálną kratą i wiodły na otwartą przestrzeń *piano nobile*.

Pałac wydawał się opustoszały. Stare meble pod-
pierały gdzieniegdzie ściany, potęgując wrażenie
niezamieszkaney pustki. Patrząc na wyblakłe freski,
zastanawiałem się, czy jestem w muzeum. Wspiąłem
się bocznymi schodami na drugie piętro, lecz nie sły-
szałem odgłosów życia poza tymi, które, stłumione,
dobiegały z Canal Grande.

Młodzieniec wprowadził mnie do przestronnego
pokoju z zamkniętymi okiennicami, zapalił światło
i bez słowa odszedł. Nozdrza podrażnił mi zapach
wilgoci. Chciałem otworzyć okno, ale okiennice nie
drgnęły – ktoś zabił je gwoździami.

Rozpakowałem się. Z bocznej kieszeni torby wyjąłem
zgniłe jabłko, które o mało nie rozpadło mi się w rękach.
Wziąłem je z samolotu, żeby mieć coś na śniadanie,
a teraz zastanawiałem się, czy podczas lotu karmią
ludzi jabłkami, które następnego dnia się psują, czy
może...

Nie, niemożliwe, żebym spędził przed furtką więcej
niż dwa dni. Po raz pierwszy się zaniepokoiłem – coś
złego, bo nieprzewidywalnego, działo się z moją pa-
mięcią, jakby ktoś ją cenzurował. Z wrażenia usiadłem
na łóżku. Po namyśle odetchnąłem. Ostatecznie pamięć
nie jest zjawiskiem regularnym jak siatka matema-

tyczna – gdyby ją w tej postaci narysować, jedno pola byłyby olbrzymie, inne tak małe, że właściwie nieistniejące. Zatopiłem się w nadzwyczaj miękkiej poduszce. Usnąłem od razu, w ubraniu, tak jakbym rzeczywiście nie spał tydzień.

Nazajutrz (a może przespałem kilka dni?), gdy się obudziłem, na stole stały taca z kawą, dzbanek mleka, płatki kukurydziane, dżem i grzanki. Jedząc, przyjrzałem się pokojowi. Był ogromny, a wysoki sufit zdobiły stiuki o mauretańskich wzorach. Mimo że ściany, od dawna niemalowane, oszraniały zacieki barwy popiołu, było czysto, niemal ascetycznie. Podkreślało to umeblowanie, wyłącznie niezbędne: stół, krzesło, łóżko, szafa – proste, lecz troskliwie wykonane, tak jak potrafili to robić rzemieślnicy nieznający usprawnień techniki. Gdyby nie rozmiary, można by powiedzieć, że byłem w klasztornej celi. Temu skojarzeniu przeczyła też łazienka o porcelanowych kafelkach i mosiężnej armaturze.

Ogoliłem się i chwilę pokręciłem po pokoju. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, już miałem się położyć, by spać dalej, gdy poczułem, że muszę wyjść. Ze zdumieniem odkryłem, że drzwi są otwarte. Byłem pewny, że służący zamknął je na klucz.